

Pomysłowa, genialnie napisana powieść
- Louise O'Neill

Violet z bratem i przyjaciółkami należą do liczego grona fanów „Tańca na szubienicy”. W czasie Comic Conu zostają w tajemniczy sposób przeniesieni do uniwersum swej ulubionej historii.

Uwięzieni w mrocznym świecie, doprowadzają przypadkiem do śmierci Rose, głównej bohaterki oryginału. W tej sytuacji Violet ma tylko jedno wyjście – musi wejść w rolę Rose i doprowadzić opowieść do końca.

MÓWI SIĘ, ŻE DLA FIKCJI
NIE WARTO UMIERAĆ...
CZY ABY NA PEWNO?

Niesamowita, trzymająca w napięciu książka.
- James Dashner, autor *Wieżnia labiryntu*.

FANDOM

FANDOM

ANNA
DAY

ANNA

DAY

patroni medialni:

granicz.pl

Ostatnia lawerna

DZIK

BESTIARIUSZ

WIELKIBUK.COM

opętani czytaniem

LLUBIE CZYTAĆ

Sec

MBP Cieszanów
Fandom /



M000011268

Jaguar

www.wydawnictwo-jaguar.pl

Jaguar

Rozdział 20

Do baraku wracam kompletnie rozbita. Potwierdziły się moje najgorsze obawy – w kontaktach z facetami jestem po prostu beznadziejna. Nie pomogła znajomość scenariusza ani nawet nieobecność przytłaczająco seksownej przyjaciółki.

– Nie pocałował cię, prawda? – Nate'owi wystarcza jedno spojrzenie.

Kręcę głową.

Nie mam odwagi się przyznać, że odbiegłam od kanonu, że podjęłam tak ogromne ryzyko wyłącznie dlatego, że straciłam nad sobą panowanie. Takie to żenujące, wstyd mi. Rzucam się na prycze.

– Podejrzewam, że Rose po prostu bardziej mu się podobała.

– Violet, dziś jest poniedziałek! – Nate klepie się dłonią w czoło. – Już w czwartek Willow powinien ci wyznać gorącą miłość i udać się za tobą do miasta. Masz tylko trzy dni! Jeśli go w sobie nie rozkochasz, zostaniemy tu na zawsze. Do końca życia będziemy Niedoskami w świecie, w którym Niedoskowie liczą się mniej niż chwasty. Zdajesz sobie sprawę, prawda?

– Zdaję, zdaję – warczę. Jeśli nie rozkocham w sobie Willowa, zostaniemy w tym świecie na zawsze. A jeżeli go w sobie rozkocham, skończę, tańcząc na linie. Chyba się zaraz poryczę. – Nie musisz mi tłumaczyć, dobra? I tak ledwie się trzymam. – Niespodziewanie dopada mnie tęsknota za trzeźwo stąpającą po ziemi Katie. Chciałabym usłyszeć, jak z tym swoim liverpoolskim akcentem zapewnia, że wszystko będzie dobrze.

– Ale na bal cię zaprosił, tak? Obiecał ci ostatni taniec? – Brat sieda obok mnie.

– Tak. I odpowiedziałam tym kiczowatym tekstem o butach.

– Super. Więc zdązysz wszystko naprawić. – Nate uśmiecha się. Znowu zachowuje się, jakby to on był starszy. – Nie przejmuj się, siorka.

Zresztą ta scena i tak jest do kitu. Pocałunek pod stajnią? Sally naprawdę powinna się bardziej postarać.

W drzwiach baraku pojawia się Ash. Wygląda na wyczerpanego. Błękit oczu zmatowiał, skóra przybrała ziemisty odcień. Gdy jednak mnie zauważa, zmęczenie natychmiast znika, a na twarzy chłopaka eksploduje szeroki uśmiech. Zbyt szeroki.

– Gotowa na drugą noc harówki? – rzuca.

– Niezmiennie. – Zsuwam nogi na klepisko, strącając przy tym z posłania garść słomy.

– Pójdę z wami – zgłasza się Nate.

– Przykro mi, stary, ale to robota dla dwojga. – Uśmiech Asha nie gaśnie ani na chwilę, lecz twardy ton głosu daje jasno do zrozumienia, iż nie zamierza dyskutować.

– Ta, na pewno – mruczy Nate.

Podnoszę się z pryczy i niby przypadkiem depczę bratu po nogach.

Przyjemnie jest chodzić z Ashem do pracy. Według kanonu Rose spędziła z nim w ten sposób kilka kolejnych nocy. W książce jednak wszystkie te sytuacje zostały jedynie zasugerowane, a filmowcy pominieli je zupełnie, więc nawet gdybym chciała, nie mogę się podpierać scenariuszem. O dziwo czuję się z tym znacznie lepiej – nie muszę bez przerwy mówić tego, co akurat powinnam, nie muszę przyjmować z góry ustalonych pów.

Obchodzimy barak i ruszamy na łąkę. Po zmroku, gdy wokół nie unosi się uderzający do głów zapach kwiatów, powietrze wydaje się lżejsze, bardziej czyste.

– Dlaczego nie nocujesz na plantacji, jak wszyscy? – pytam. – Po co codziennie wracać do miasta? – Przypominam sobie, że Willow nie wiedział nawet, jak nazywa się autobus. Krzywię się.

– Tam jest mój dom. – Chłopak trąca butem szyszkę, która podskakuje i odbija się od niskiego, kamiennego murku.

– Ale miasto jest takie brudne... Niezdrowe.

– Tak, cóż. Innego nie znam. Tam mam rodzinę.

Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – coś nieprzyjemnie ściska mnie w dołku.

– Zdarzyło ci się mieć problemy na granicy?

– Pewnie. – Ash wzrusza ramionami. – Raz próbowałem przemycić parę rzeczy dla Matuli. Strażnik oczywiście je znalazł.

Przeglądał mu się z ukosa. W świetle księżyca profil chłopaka wygląda niemal jak odlany ze srebra.

– I co się stało?

– Wszystko mi zabrali, a potem stłukli do nieprzytomności.

Sztywniej mi kolana. Spoglądał mu prosto w oczy.

– I jak z tego wyszedłeś?

Ash masuje mi przedramię, jakbym to ja opowiadała o strasznych przejściach.

– Kwestia przypadku. Zemdlałem, a strażnikom nie chciało się mnie zastrzelić. Wreszcie się ocknałem i doczołgałem jakoś do domu.

– Okropne... – Przenikają mnie fale gniewu.

– Tacy są Genule.

Wracam myślami do Willow. Przypominam sobie płynące z idealnie foremnych ust nienawistne słowa. „Tak po prostu wygląda świat. Zawsze tak wyglądał.” Ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Nie powinien nawet myśleć o całowaniu się z tym Genulem.

– A ty? – podejmuje Ash.

– Też. Było bardzo gorąco, ale uratował mnie Symp. – Krew gwałtownie uderza mi do policzków. Mimowolnie zasłaniam pierś ramionami.

– Przykro mi.

– Dzięki. Co właściwie przemyciałeś?

– Nic szczególnego. Bandaże, środki do odkażania. Matula bardzo ich potrzebuje.

– Pomagasz jej czasami? – pytam.

– Przy odbieraniu porodów?

Kiwam głową. Odbieranie porodów. W jego ustach brzmi to tak prosto i zwyczajnie. Czysto. Jakby noworodki przynosił na przykład listonosz. Ale bez odpowiednich medykamentów i przyborów poród musi być koszmarnym przeżyciem.

– Zdarza się. Moja rola sprowadza się najczęściej do podawania wilgotnych ścierek i sprzątania. Wiesz, przynieś, wynieś, pozamiataj.

– Pewnie napatrzyłeś się na mnóstwo nieprzyjemnych sytuacji.

– Opowiadałem ci historię swojego imienia? – Ash uśmiecha się do mnie.

Kręcę głową. Kolejny motyw, który nie wyszedł spod pióra King. Teraz jednak nie widzę w tym historii wzbogacającej drugoplanową postać. To coś prawdziwego i niezwykle ludzkiego. Coś, co bardzo chciałabym usłyszeć.

Chłopak zadziera głowę i spogląda w księżyc, jakby próbował coś sobie przypomnieć.

– Widzisz, Matula rodziła mnie całymi godzinami. Pojawiły się komplikacje. Akuszerka, taka staruszka z sąsiedniej ulicy, uspokajała ją, śpiewając stare kołysanki. Znasz może ostową wyliczankę?

– Nie.

– Serio? Myślałem, że wszystkie małe dziewczynki ją znają. Nie śpiewałaś jej grając w klasy?

– Naprawdę nie słyszałam.

Zaczyna recytować:

Policz oset, raz, dwa, trzy

Niedosk wolny już patrzy.

Policz oset, cztery, pięć

Chwyć za broń i w górę pięść.

Jesion już czerwieni się

Poszła wiosna, lato precz.

Robi lekko zmieszaną minę.

– W każdym razie, urodziłem się z zaciśniętą na szyi pępowiną. Nawet nie oddychałem. Mama była przekonana, że nie żyję, ale akuszerka rozplątała pępowinę i zaczęła intensywnie masować mi plecy. Przez cały czas śpiewała. Matula twierdzi, że pierwszy oddech zaczerpnąłem dokładnie, kiedy w wyliczance padło słowo jesion*. Właśnie wtedy postanowiła, że też będzie pomagać rodzącym kobietom. Chciała móc zastąpić staruszkę po jej śmierci.

Opowieść sprawia, że zbiera mi się na płacz. Niewiele brakowało, by Ash nie przeżył na świecie ani chwili. A te kobiety? Całe życie poświę-

* Jesion – ang. ash (przyp. tłum.).

ciły ciężarnym i ich maleńkim dzieciom. Właściwie bez powodu, wiedzione po prostu odruchem serca.

Chłopak szczerzy się w uśmiechu. Zęby jaśniejają w ciemności.

– Ma się wycucie czasu, co? Gdybym zaczął oddychać przy innym słowie, mógłbym teraz nosić wyjątkowo kretyńskie imię. Na przykład Cztery.

Szkoda, że nie ma z nami Nate'a. Pęklby ze śmiechu.

Murek się kończy. Skręcamy i wchodzimy do ogrodu warzywnego. Widzę przed sobą długi szereg grządek i wielką altanę, pod którą miejsca jest więcej niż w salonie mojego rodzinnego domu.

– Czyli nocami jesteś niewolnikiem, a za dnia akuszerem. Kiedy ty w ogóle sypiasz? – pytam.

Ash parska śmiechem.

– Nocami jestem niewolnikiem, a za dnia chłopcem na posyłki. I nie sypiam. Nigdy, przenigdy. No dobra. Zajmij się czarnymi porzeczkami. – Wskazuje gestem stojącą przy altanie stertę łubianek. – Ja zajrzę do groszku.

Muszę przyznać, że czuję się lekko zawiedziona. Myślałam, że będziemy pracować razem.

Zbieranie owoców zajmuje nam kilka godzin. Pod koniec uda bołą mnie od wiecznego kucania, palce drętwieją, w oczach czuję pieczenie i bardzo, ale to bardzo brakuje mi słońca. Wynajdowanie czarnych owoców w ciemności okazuje się trudne, nawet kiedy pomagam sobie pożyczoną od Asha latarnią. Jedynym sympatycznym akcentem jest kwaskowaty smak, który rozlewa się w ustach, gdy rozgryzam niewielkie kulki. Fantastyczna odmiana po jabłkach i starym chlebie.

Ash pomaga mi ułożyć łubianki na tacy.

– Przyznaj się. Ile zjadłaś? – pyta z uśmiechem.

– Chyba więcej, niż zebrałam. – Chichocę i unoszę w brudnych palcach kiść porzeczek. – Spróbuj, pyszne są.

– Nie. Obrzydlistwo. Chyba nie myślisz, że wybrałem groszek bezinteresownie?

Wyprowadza tacykę poza altanę i przywołuje mnie ręką. Ruszam posłusznie. Przechodzimy przez jakiś płot i po raz pierwszy widzę drewnianą szopę. Budyneczek nie ma okien, a tylko niewielkie, kwadratowe drzwi. Kojarzą mi się z klapką dla gigantycznego kota.

– Co to? – ciekawię się.

– Chodź, sama zobaczysz. – Chłopak staje na czworakach i podchodzi do klapki.

Idę w jego ślady. Chichocę pod nosem. Musimy wyglądać przekonmicznie.

– Ash? Co my tu robimy?

– Masz ochotę zjeść coś porządnego?

– Ja? Zawsze!

– Więc uznaj to za zaproszenie na wczesne śniadanie.

Wpełza do szopy. Po chwili na zewnątrz wystają jedynie jego buty. Słyszę trzask rozpalanej zapalki i w szczelinach wokół kłapy pojawia się nikła poświata. Chwilę potem Ash otwiera drzwiczki. Twarz chłopaka zalewa miękkie, bursztynowe światło lampy. Gramolę się do środka, przy czym uderzam go głową prosto w pachę. Parskam śmiechem.

– Cii! – wskazuje siedzące na grzędach, śpiące kury. Wyglądają tak bardzo spokojnie, napuszone pióra migocą.

Wchodzę głębiej. Dłońmi i kolanami rozcieram grudki ptasiego łąna. Z jakiegoś niezbyt jasnego powodu, zapach lakieru do drewna i ciepłych, pierzastych ciał napawa mnie poczuciem bezpieczeństwa. Próbuje wciągnąć pod siebie kolana, lecz ręce odmawiają mi posłuszeństwa i upadam twarzą na słomę. Ash pomaga mi się podnieść. Trzęsie się z powstrzymywanego ostatkiem sił śmiechu, od którego ślicznie różowieją mu policzki.

– Spadaj! – rzucam szeptem, zdmuchując z wargi kilka suchych ździebełek.

– Śniadanie już czeka – mówi Ash. Wyciąga mi słomę z włosów.

– Nie złapią nas?

– Mało prawdopodobne. Genule rzadko zapuszczają się tak daleko od domu.

Pospiesznie zbieram jajka. W dotyku są ciepłe i gładkie. Przekazuję je Ashowi, który układa je za klapką kurnika. Kiedy mamy już dosyć, daje mi znak skinieniem, po czym odwraca się przodem do wyjścia. W tej samej chwili w moim brzuchu rozlega się potężne burczenie.

Prostuje się, patrzy na mnie i przykładą sobie palec do ust.

– Musisz bardzo uważać, żeby nie pobudzić kur – tłumaczy nikłym szeptem.

– Dlaczego? – pytam równie cichutko.

– Dlatego, że jeśli się ockną, zobaczysz coś takiego...

Bez uprzedzenia wygina plecy, składa ramiona jak skrzydła i zadziera wysoko głowę. Pieje tak głośno, jakby chciał postawić na nogi całą posiadłość. Błyskawicznie zagarnia nas wir gdakania i łopotu skrzydeł. Ze wszystkich stron biją w nas ptasie piersi. Piszczę i śmieję się, osłaniając twarz dłońmi.

Chłopak jednak chwytą mnie za ręce i opuszcza je w dół.

– Nie, Violet, nie możesz tego przegapić.

Zamieramy w bezruchu, stoimy wśród pierza i furkocących skrzydeł. Właśnie teraz, w tej chaotycznej, bezładnej chwili, przychodzi mi do głowy niespodziewana myśl:

Tak, to byłaby znakomita sceneria pierwszego pocałunku.

Rozdział 21

Opychamy się skradzionymi jajkami – smażymy z nich nad ogniskiem jajecznicę – i zasypiamy na trawie pod srebrzystą brzozą. We śnie widzę pióra i ostowy pyłek. Śnią mi się strzępki liści i wybuchające jabłka. Powietrze gęstnieje od migocących drobinek, które przywierają mi do ust i zatykają nos. Coraz trudniej mi oddychać. Drobinki rosną i stają się przezroczystymi bańkami, morską pianą. Nagle dociera do mnie, że znalazłam się pod wodą. Zerkam w dół i widzę rybi ogon – wyrasta prosto z mojej talii, jakby był tam od początku świata. Otwieram usta do krzyku, lecz okazuje się, że nie mam języka. Nie mam głosu. Naprzeciwko mnie unosi się w toni Katie. Wciąż ma na sobie czarny trykot. Rude włosy okalają jej twarz niczym lwia grzywa.

– Musisz zdobyć serce księcia, Violet. – Katie uśmiecha się do mnie.

– Jeśli zawiedziesz, rozplyniemy się w morskich odmętach.

Rozchyłam wargi. Chcę odpowiedzieć, ale z ust dobywa mi się tylko strumień gęstej piany, spływa na pierś jak fala wymiocin.

Gwałtownie wyrывam się ze snu. Wciąż mam ochotę krzyczeć, lecz koszmar szybko blednie, umyka i po chwili pamiętam już wyłącznie jego szkielec – Katie, wodę i przemożne poczucie zagrożenia. Rzucam okiem na Asha. Z twarzy chłopaka bije niezmacony spokój. Długie rzęsy leciutko podrygują. Resztki majaków odpływają bez śladu.

Pocieram grzbietem dłoni policzek chłopaka. Miękkie i prawdziwe. Zasypiając, prawie się nie dotykaliśmy, teraz jednak leżymy spleceni, otuleni własnym ciepłem. Piersi unoszą się i opadają w idealnie zgranym rytmie. Uświadamiam sobie, jak świetnie pasują do siebie nasze ciała i po raz pierwszy od wieków, czuję się po prostu bezpieczna.

Słońce chyli się już ku zachodowi. Przespaliśmy większą część dnia. A z tego wynika, że powieszę mnie dokładnie za cztery dni... Wynika